Opowiadam lekarzowi, że nie stabilizuję pierwiastków. Wymieniam po kolei, skupiam się, żeby niczego nie pominąć. Patrzy na mnie, jakbym weszła mu do gabinetu co najmniej z dębem stulistnym. Albo z wielbłądem w torebce. Już wiem, że to nie będzie łatwa wizyta. Przecież takie przypadki są tylko w książkach, a książki to fikcja. Nawet te medyczne. Sapie i się denerwuje, zaczyna do mnie docierać, że w zasadzie to ja niczego nie potrzebuję, poradzę sobie bez jego pomocy, zawsze sobie radzę, jesteś dzielna, dziecko, umiesz sobie zawsze jakoś sama, ja to nie wiem, jak dajesz radę. Wzdycha coraz głośniej, zaraz rozpocznie się tyrada. I jedzie we mnie jak tir z teledysku do piosenki *Nas nie dogoniat*. Jedzie, pewny, że rozgniecie mnie zaraz na tym krześle ze sklejki i będzie miał problem z głowy. Że to trzeba badaniami, że co ja się znam, że się w internecie naczytałam, a to prawie niemożliwe.

Prawie. Tak jeszcze nikt mnie nie nazywał. Więc jestem prawie i prawie mnie nie ma. Mówię, że mam to wszystko, leci ta cała litania, a on wzdycha jeszcze głośniej. Że ja powinnam mieć opiekę specjalisty, że ktoś się musi na tym znać. Ostatkiem sił przypominam tylko, że potrzebuję skierowania. Na badania właśnie. Od lekarza. Tylko tyle. Muszę to sprawdzać, muszę co kwartał, jak tam moje wskaźniki, czy już czeka mnie czarna dziura.

Dzieli nas blat biurka. Dzieli nas, kurwa mać, cały wąwóz podejścia do sprawy.

Dalej drąży. Że przecież te zęby to potwierdzają, że to nie ta choroba. Szczerzę się jak niezrównoważona, że sztuczne. Zaczyna mnie to bawić, to ten moment, kiedy poziom absurdu jest tak przesunięty, że jedyne, co można, to już tylko się śmiać. Szuka kolejnych powodów, żeby tylko nie oddać mi racji, żeby tylko jego zostało na wierzchu. Jakby wypisanie tego skierowania było ostatnią bitwą w jego życiu i oznaczało co najmniej oddanie prawa do wykonywania zawodu lekarza.

Kiedy wychodzę z tego gabinetu, jestem tak zmęczona, że nie do końca wierzę w to, że to się faktycznie wydarzyło. Nie wiem, które z nas jest bardziej chore. Tylko ja nie mam pieczątki i tytułu lekarza na drzwiach gabinetu, którego też zresztą nie mam.

Ciało jest magiczne. Zawsze odstawało od innych ciał, ale teraz, odkąd więcej ze sobą rozmawiamy, odkrywam jego możliwości. Ma zupełnie inne parametry, jak podkręcony przez amatora samochód. Potrafi wykoleić się na prostej drodze, a jednocześnie dojechać dużo dalej na samych oparach. Niesamowite, przyznaję mu zwycięstwo w duchu. Wiedziałabym to dużo wcześniej, gdyby tylko chciało mi się go uważniej słuchać. Połączyła nas tragedia, brzmi jak wstęp do marnego serialu, a jednak

się dzieje. Życie często jest dużo bardziej interesujące niż fabuły tworzone przez pisarzy, sama coś o tym wiem, to słowo przecież mnie karmi. Tyle tylko, że zawsze przepuszczone są przez osobiste doświadczenia, a tych zapisać się nijak nie da.

Jeszcze trudniej się do mnie dostać. Widzę to w relacjach, wycofuję się, kiedy jestem za blisko. Momentalnie staję się powściągliwa i sprawiam wrażenie tak silnej, że nikt nie chce zabierać mi kompetencji. Jestem silna, mają rację. Tylko w środku wata, stary mech, który – jak tylko go dotknąć – sypie się pyłem na palce. Nie daję się więc dotykać tak głęboko. Obok akceptacji znów rośnie we mnie bunt. Ciało się zmieniło, jest bardziej wymagające. Poznaję je na nowo, kaprysi dużo bardziej. Oswajam je jak wielkiego i groźnego lwa, który za niesubordynację po prostu mnie pożre.

Gorączkowo próbuję spełniać marzenia. W końcu mi się udaje, jadę na Syberię. Kiedy przychodzą papiery do ubezpieczenia przed wylotem, kłamię. Patrzę długo na kwadracik przy chorobach przewlekłych i walczę z poczuciem przyzwoitości. Przecież nigdy mnie nie ubezpieczą, jeśli napiszę prawdę. Nie spełnię marzeń. Omijam go w końcu, przecież skoro dla systemu zdrowia w kraju nic mi nie jest, to i im nie zrobi to różnicy. To przecież ja sama z tym walczę, nikt mi nie pomaga tutaj, tam też sobie poradzę. Dam radę. Składam podpis. Najwyżej nie wrócę.

Kiedy w końcu staję na Olchonie, znów sobie wierzę. Mimo tego, że nie daję rady zasnąć bez oklejenia się plastrami dla sportowców, znów sobie wierzę. Stopy w Bajkale, moje własne stopy w miejscu, o którym śniłam latami, są jedną z najpiękniejszych rzeczy, które widziałam przez całe swoje życie. Zobacz, mówię sobie w myślach, daliśmy radę. Ja byłam nieco przerażona swoją brawurą, ty jesteś wyczerpane, ale jesteśmy tutaj. I oboje się z tego cieszymy. Więc umiem.

Uczę się od Buriatów kochania w najprostszy sposób. Takiej naiwnej wdzięczności za to, że się jest. Dużo prościej robić to, mając mniej. Oni nie mają prawie nic, żyją bardzo skromnie, zupełnie nie oglądając się na takie małe rzeczy jak niedoskonałości. Słusznie uważają, że to nie ma żadnego znaczenia, że niczego nie determinuje. Nie sprawia, że spadnie deszcz. Nie nakarmi bydła. Nie podaruje szczęścia na talerzu. Jest tylko pobocznym wątkiem, mało znaczącym faktem, nad którym nie warto się pochylać. Zazdroszczę im tego, że patrząc na siebie, widzą człowieka, a nie nakłady poświęcone na udoskonalaniu powłok.

Jestem świetnym przykładem na to, że można uprzeć się na wszystko. Na życie, na nieżycie, na dobre i na złe. Jeśli związałam się jakąś przysięgą, w którą faktycznie uwierzyłam, to sama ze sobą, że nigdy się nie opuszczę. Strasznie wymagający związek. Znosić się świadomie przez całą dobę, chodzić na kompromisy i leczyć z każdej dolegliwości. Bronić i głaskać, kochać. Z tym kochaniem jest najgorzej, miłość to dziwny twór, co każdy o nim słyszał, może by i chciał, ale żeby uwierzyć, że się zdarza, to już niekoniecznie. A jeszcze siebie? Te krzywe nogi,

krzywe ręce, brew, co jej włoski prosto nie chcą porastać? No jak kochać?

Nie mam wyjścia, uczę się siebie kochać, nie stawiając warunków i nie spisując umowy przedwstępnej. Mimo dziury w genotypie, mimo wampirzej cery, mimo udarów, mimo niezdolności do utrzymania ciąży, mimo bólu, dziesiątek złamań, poranionych tkanek. Mimo tego, że wszystko nie tak. Idziemy sobie ciemną doliną, czasem ktoś drepcze z nami. Może nawet już je lubię, co nie znaczy, że nie zdarza mi się tłuc pięścią w poduszkę, bo ściana strzaskałaby mi kości w drobny mak. Zdarza się, pewnie że tak. Sama zawiozłabym się do specjalisty od chorób psychicznych, gdybym tego nie robiła.

Akceptacja nie może oznaczać wyparcia. Musi być świadomym procesem, a ten osiągnąć da się, tylko przyglądając się uważnie. Najlepiej z oczami podpartymi zapałkami, żeby nie dało się ich zamknąć, kiedy zrobi się przykro. Lubię je, nie chcę się go wstydzić. Ani teraz, ani nigdy, ani w żadnym świecie. Gdyby nie robiło mi takich numerów, nawet bym o tym nie myślała. Teraz nie wiem, kto kogo próbuje tu przechytrzyć. Dziwna gra, nikt nie zna reguł, ale jakoś nam idzie.

Odkrywam, że ciało jest bardzo kolorowe. Że wybarwienie skóry jest zupełnie inne na wnętrzu dłoni i na jej wierzchu, że pachwiny pokryte są bardziej połyskliwą warstwą niż reszta ciała, że powieki są tak cienkie, że transparentne. Rzęsy wychodzą z nich, krzyżując się u nasady. Mrugamy przez całe życie miliony razy, nie poświęcając minuty na zapamiętanie, jak wyglądają nasze powieki. Nie wiesz. Też nie wiedziałam. Zaczęłam je oglądać po przeczytaniu, że moja skóra jest inna. Że każdy z typów wrodzonej łamliwości kości odznacza się niebieskawym podbarwieniem i gałek ocznych, i skóry – deficyt kolagenu czyni je bardziej przezroczystymi i łatwiej przebija przez nie siatka naczyń krwionośnych. Faktycznie. Wszystko się zgadza, nigdy nie zwróciłam na to uwagi. Mrugałam. Nadal mrugam, ale wiem już czym. Nie mam pojęcia, jak mogłam wcześniej tego nie widzieć. Może widziałam, ale nie patrzyłam? Nie wiem.

Dociera do mnie, że jeśli powieka, ochłapek skóry przykrywający moje niebieskie oko, jest dla mnie takim zdziwieniem, to bardzo daleka droga przede mną. Droga, którą masa ludzi przechodzi dużo później, kiedy zachwieje coś światem. Na pewno nie teraz, nie w kwiecie wieku. A właśnie że teraz. To taka piękna przewrotność losu – jeśli zamierzam gdzieś dalej dojść, to muszę zawrócić do początku, bo inaczej przewrócę się na pierwszym zakręcie.